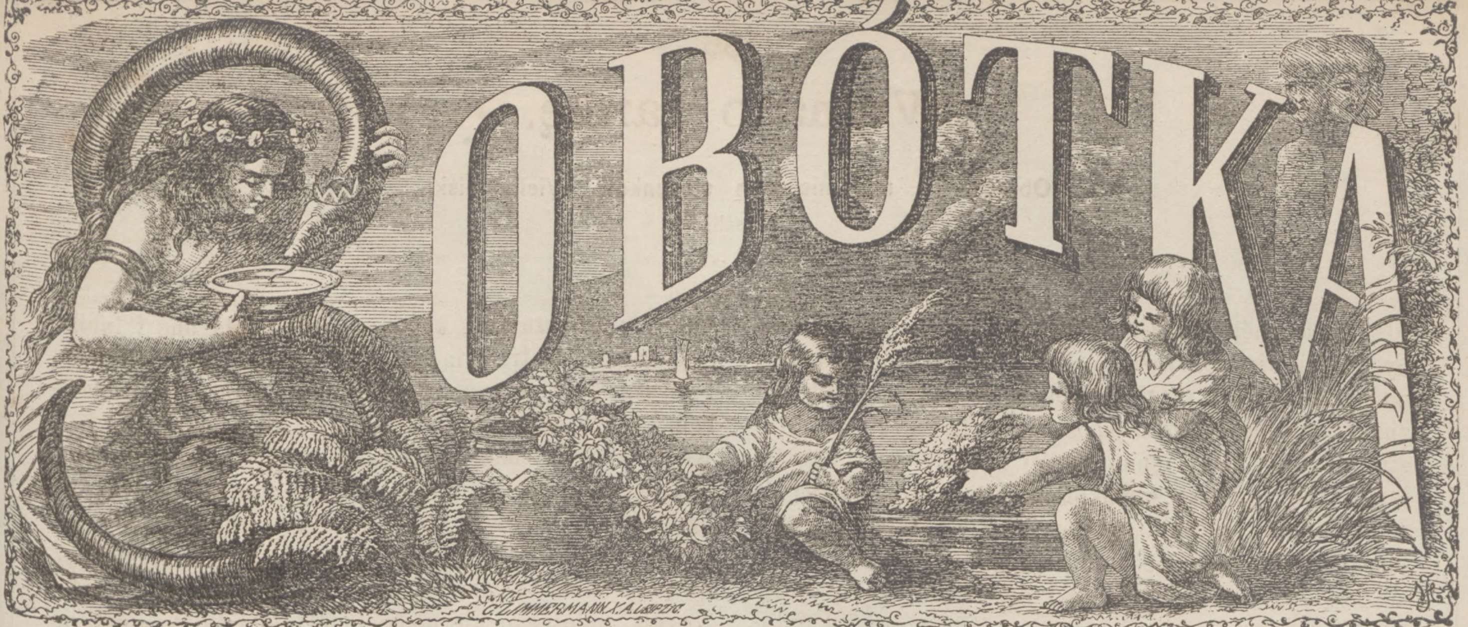


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 24. **Poznań, dnia 11 czerwca 1870.** **Rok II.**

DZIEWCZĘ I GOŁĄB'.



Ach! ty mój miły,
Ach! ty mój mały,
Ach! ty niewdzięczny
Gołąbku biały!

2.

Gdybym tak chciała
Całować kogo,
Czyżby z rąk moich
Rwał się tak z trwogą?

3.

I mnież to przyszło
Żądać daremnie,
By mnie ktoś raczył
Kochać wzajemnie?

4.

A przecież czuję,
Choć mną tak gardzi,
Że go z dnia na dzień
Kocham tém bardziéj.

5.

Czyż i od ludzi,
Jak od gołębia,
Tak obojętność
Serc nie oziębia?

6.

O! o! po nici
Dochodzę kłąbka;
Toć i ja będę
Brać wzór z gołąbka.

7.

Im który tkliwiéj,
Tém ja z nim hardziéj,
Aż będzie musiał
Kochać tém bardziéj!

8.

Lecz niechże zgadnie,
Komu dokuczę,
Że się srogości
Z gołąbka uczę...

A. E. Odyniec.

Wojna o pannę,

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Ciąg dalszy.)

Bartłomiéj, w całém miasteczku Bałabartkiem zwany, mniéj więcéj rówiennik Kubusia, urodę odziedziczył po matce, nizkiéj i tłustéj blondynce, którą bliżéj poznać znajdziemy jeszcze sposobność. Był nizkiego wzrostu, średniéj tuszy i niezgrabnéj budowy ciała. Twarz jego z nadzwyczajną wypukłością policzkowych kości do mongolskiego zbliżała się typu, ale ogromna strzecha jasnych włosów, nizkie czoło, wielkie niebieskie wodniste oczy, nos cienki a długi i małe usta, kępą szczecinowatych, rzadkich ozdobione wąsów, europejsko-słowiańskie oznaczały pochodzenie. W niekształtném ciele, niekształtna i rogata mieściła się dusza. Bałabartek był głupim i zarozumiałym do śmieszności, krnąbrnym i bezczelnym nawet względem ojca, którego ani pokochać, ani obawiać się nie umiał, z wielką zapalczywością nieustraszoną łączył odwagę, a z linistwem i obrzydliwym cynizmem skąpstwo i nieuczynność. Obok wad tych posiadał Bartoś jedną, ale znaczną zaletę, — był zawsze szczerym i otwartym. Fałsz, podstęp, kłamstwo nigdy w sercu jego nie znalazły przyjęcia; skoro tylko przeciw komu żywił urazę, nie mógł jéj ukryć w duszy, zaraz albo słowem, albo pięścią domagał się sprawiedliwości; w chwili uniesienia gotów był zabić przeciwnika, ale długotrwająca nienawiść obcą mu była zupełnie; krótko po krwawéj bijatyce serdeczną zawierał zgodę. Sądząc, jak to zazwyczaj bywa, wszystkich ludzi podług własnéj natury, wszelkie zewnętrzne objawy za szczere brał myśli i uczucia; sarkazm i ironia względem niego bezskuteczną były bronią; tam tylko, gdzie zbyt wyrazistą przybierały barwę, prawdziwéj myśli domacać się zdołał.

Bałabartek, jak powiedzieliśmy, największym Kubusia był przeciwnikiem. Od lat najmłodszych wieczną toczył z nim wojnę; poczubił się z nim i pogodził kilkanaście razy na dobę, ale zawsze, podług powszechnego zabobonu, przed zachodem słońca jeszcze o szczerą postarał się zgodę. Pobudką do tych utarczek, które częstokroć z obu stron ojcowskiemi kończyły się bizunami, był prawie zawsze złośliwy figiel Kubusia; głupi i leniwy Bartoś nigdy nie szukał zaczepki. Kubuś lubił się znęcać nad moralnie niższym rówiennikiem, a kiedy wiek bijatyk przeminął szczęśliwie, nieustanną prześladował go uszczypliwością. Ojcowie cichą, synowie otwartą prowadzili wojnę, nic więc dziwnego, że pomiędzy obydwoma domami powierzchowna tylko panowała zgoda. Szczególniéj zawadyacki Kubuś, wielką przeciw całéj rodzinie Matusińskich objawiał niechęć. Chociaż wielbiciel płci pięknéj, nie przebaczył jednak córeczce pana Walentego, ładnéj Kachnie Matusińskiéj. A cudnaż to była dziewczyna!... Zgrabna, fertyczna, wesoła jak chochlik, z czarném figlarném oczkiem, zadartym noskiem, z licem pełném a rumianém i z kruczym włosów warkoczem!... Kachna przejętą była urokiem swéj piękności, a poczucie to podniosło znacznie jéj wesołą, naturalną kokieteryę. Umiała ona i lubiła skromnym, ale trafnym strojem, rozkosznym uśmiechem i błyskawicą czarnego oczka głowy zawracać młodzieńcom, a rozkochanych pozorną dręczyć obojętnością. — Kubuś znał Kachnę od lat najmłodszych, wiedział, ileby jéj sprawił radości, ulegając magnetycznym wpływom ognistéj źrenicy, i dla tego, chociaż i charakter i twarzyczka dziewczyny całkiem do jego przypadały smaku, na pozór zimnym, niegrzecznym, złośliwym był dla niéj. Zwykle, należnego nie oddając jéj ukłonu, głupowatym wzrokiem śledził przechodzącą, nigdy dobrym nie poczęstował jéj słówkiem, kiedy do składu po cukier, lub kawę wstąpiła, i tylko niekiedy, w napadzie dobrego humoru, przesadzał się w ironicznych grzecznościach i romansowe przewracał do niéj oczy. Daléj ku wielkiemu zmartwieniu dziewczęcia, Bóg wie z jakiéj przyczyny, przezwał ją Ciurusiem, ułożył piosenkę o Ciurusiu i przy każdéj sposobności zaśpiewać jéj nieomieszkał. Kachna oddawała piękne za nadobne. Rozdraźniona tak stanowczym i śmiałym oporem, żadnéj na Kubusia nie zwracała uwagi, nie raczyła spojrzeć na niego, jego żarty i piosenki pogardliwém zbywała milczeniem, a przywspólnych zabawach jak najstaranniéj wszelkiego z nim unikała zetknięcia. Nieraz jednak biedna dziewczyna, z rozpaczliwym gniewem na twarzy, różowe przygryzała wargi, nieraz łzę żalu rogiem fartuszka otarła, — nie wiemy, czy z bólu nad uszczypliwym żartem, czy z rozpaczy nad kamienném sercem Kubusia!... Rozżalenie zalotnéj Kachny do najwyższego doszło jednak stopnia, kiedy nielitościwy Kubuś otwarcie o względy nadobnéj Zosi starać się zaczął. Pierwszy raz w życiu czuła się pogardzoną dla innéj i, jedynie dla skwaszenia Kubusiowi tych niegodziwych w jéj wyobrażeniu zalotów, do coraz większéj śmiałości głupiego pobudzała Bałabartka. W rzeczy saméj zbytecznym to było trudem. Bartoś rozkochanym był w Zośce miłością cyniczną, zmysłową i obrachowaną przytem na ładny jéj mająteczek, dla tego ze zwykłą sobie bezczelną a głupią śmiałością, kręcił się koło dziewczyny i poraz pierwszy w życiu stałą przeciw Kubusiowi uczuł niechęć. Kubuś, li tylko z chęci sprzeciwienia się, strasznie udawał zazdrosnego, a biedna Kachna cieszyła się mniemaném jego udręczeniem, cieszyła się więcéj jeszcze pewnością, że ani Bałabartek, ani Kubuś nieznośny względów pięknéj Zosieńki nigdy nie uzyska. Jako najszczersza tejże przyjaciółka i powiernica, wiedziała dobrze, że serce dziewczyny oddawna inny przedmiot miłości znalazło. Szczęśliwym tym śmiertelnikiem był Staś, syn pana Feliksa Szyszkiewicza, dziedzica Grabinek, o którym w pierwszym rozdziale wspomnieliśmy nawiasem, teraz zaś słów kilka powiedzieć musimy.

Pan Feliks Szyszkiewicz był mężczyzną lat pięćdziesięciu i kilku; wysoki, chudy, zgarbiony, twarz miał wielką, ostrą, małe, zielone oczy, włosy siwe, długie

i wąs zawiesisty. Postać jego ku ziemi schylona, niemiły wyraz twarzy, wzrok przenikliwy, nieład i zaniedbanie w prawdziwie gospodarskiém panujące ubraniu, przykre na wszystkich czynił wrażenie. Z tą szpetną i odpychającą powierzchownością rozliczne wewnętrzne łączyły się wady. Pan Feliks żadnego nasamprzód nie posiadał wykształcenia; był synem prostego ekonoma, albo „rządzcy“, jak dzisiaj mówią powszechnie, młodość przepędził w stajni i psiarni, a nauczywszy się ledwie czytać, pisać i rachować, zawód gospodarski od zwyczajnego rozpoczął pisarka. W późniejszym wieku zajął miejsce ojca, skromną jego fortunkę zręcznemi powiększył obrotami i po trzydziestu latach ciężkiéj pracy kupił Grabinki, wioseczkę pięćset mórg liczącą, zabudował ją porządnie i niemałe ciągnął z niéj zyski. — W ciągłych z prostym tylko ludem pozostając stosunkach, pan Feliks pod względem umysłowym zupełnie z nim stanął na równi, przejął jego rubaszność w ruchach i w mowie i co do brudnéj i zaniedbanéj powierzchowności mało się różnił od niego. Prawdą jest niezaprzeczoną, że pan Feliks Szyszkiewicz nie częstym jest dzisiaj zjawiskiem, ale niemniéj wielką jest prawdą, że gruntownie wykształcony właściciel ziemski również należy do wyjątków. Ogół średniowiecznych jeszcze trzyma się zasad; siłę materyalną mając po swéj stronie, intelektualną za zbyteczną uważa. Rzadko który młodzieniec z tego stanu o skończenie szkół się pokusi, rzadziéj jeszcze uniwersyteckim poświęci się studyom. Zazwyczaj o jednoroczną postarawszy się służbę wojskową, wyuczywszy się dostatecznie agronomii, osiada na wsi, zakłada własną rodzinę, życie całe pracuje nad kawałkiem ziemi, czas, który wolnym od téj łatwéj stosunkowo pozostaje pracy, zabawie lub nieczynności poświęca, należy do towarzystwa agronomicznego, palnie przy sposobności mówkę, o któréj mówią w powiecie i jest, podług utartego wyrażenia, które wszelkie w sobie zamyka zasługi „szanownym obywatelem“ Niestety, w naszych stosunkach szanowność ta jest niewystarczającą. Pan Feliks Szyszkiewicz czuł bardzo dobrze swoją niższość umysłową i brak ten majątkową starał się zastąpić potęgą. Z tego kierunku dwie wielkie wyrodziły się wady: chciwość i pieniactwo. Pan Feliks był niezmordowanym w łowieniu grosza, żadnéj sposobności zbogacenia się nie pominął, o lada drobnostkę procesował się zawzięcie i do wypełnienia najmniéjszych układów pieniężnych procesem zmuszonym być musiał. W razie przegranéj nieubłaganym przeciwnika stawał się wrogiem i wszelkiemi sposobami zemścić się starał. Nie mogąc sam się już podnieść pod względem umysłowym, całą w tym względzie troskliwość na jedynego przeniósł syna. Staś, wysoki, przystojny blondyn, o szlachetnych rysach twarzy i niebieskiem, marzącem oku, odpowiedział aż nadto wymaganiom ojca; poświęcił się z zapałem naukom, polubił swoje książki i, wróciwszy po skończonym prawnym kursie z uniwersytetu, nie mógł do wiejskiego przyzwyczaić się życia. Ojciec niechętnym na to patrzał okiem; chciał on wykształcić syna, ale nauka miała być dla niego tylko środkiem do zyskania powagi i znaczenia wśród obywatelstwa, ale nie celem całego życia. Panu Feliksowi nie podobał się przytem charakter Stasia. Staś był rzeczywiście słabym, miękim i pełnym marzycielskiego liryzmu, w stanowczych tylko chwilach na energią zdobyć się umiał. W oczach gburowatego i gwałtownego pana Feliksa słabości te w olbrzymich objawiały się rozmiarach, naturalną więc było rzeczą, że pomiędzy dwoma tak przeciwnemi usposobieniami, nigdy pożądana nie istniała harmonia. Pan Feliks łajał i szorstko obchodził się z synem, Staś wszystko znosił z pokorą i szukał pociechy w książkach, w marzeniach, albo w samotnych wycieczkach, które na swym odbywał gniadoszu. Do niemiłego z ojcem stosunku przyczyniła się znacznie miłość Stanisława ku nadobnéj Zofii.

Dwa tak podobne charaktery, dwie tak uczuciowe dusze, pod równémi mniéj więcéj pozostające wpływami, z łatwością zbliżyły się do siebie. Zosia, bojaźliwa i skryta zazwyczaj, z całą ufnością przywiązała się do Stanisława. Często samotnie przy jego boku w ciemnym błądziła lesie, albo, usiadłszy na jasnym łąki kobiercu, w zachwyceniu słuchała jego rozmów, pełnych rzewnego uczucia, jego wierszy, gdzieś po niebieskich bujających sferach i nie czuła obawy; znała go i ufała mu zupełnie. Podobny liryzm, podobne oderwanie się od ziemi jest zwykłą chorobą, i błędnym młodego wieku kierunkiem, jest objawem słabych i niemęzkich charakterów i przyczyną większego jeszcze rozstroju. Nie jesteśmy bynajmniéj za tém, aby młodość odartą być miała z poetycznych i idealnych polotów, ganimy owszém racyonalizm naszego wieku, który najszlachetniejszy zapał w młodzieńczych ostudza sercach, ale ganimy również ten zupełny brak hartu, tę dziecinną miękkość duszy, która, najmniéj ostrą dotknięta rzeczywistością, krzykiem bólu i rozpaczy mniemaną krzywdę swoją ogłasza. Ten krzyk bezpodstawnego żalu, zafarbowany niekiedy gorżką ironią, znajdujemy dzisiaj w utworach niejednego z młodych a prawdziwych talentów; nastrój ten w oczach poety prawdziwém zdaje się być uczuciem, w oczach świata chorobliwym stanem zniewieściałéj duszy. Staś i Zosia dwojaką mieli przyszłość przed sobą. Gdyby gorące ich życzenia szybkie znalazły urzeczywistnienie, umysły ich niezadługo do naturalnego powróciłyby stanu; przeciwność zaś, działąca ich gwałtownie, zwątlić i złamać słabe mogła tylko serca. Niestety, druga ta ostateczność groziła zakochanym. Pan Feliks przeczuwał skłonności i gorżkiemi obarczał go wurzutami. W oczach dorobkowicza, Zofia niestosowną dla Stanisława była partyą; chciał on syna ożenić z córką zamożnego i poważnego domu i wyrobić mu w ten sposób łatwy wstęp do wyższego towarzystwa; chociaż więc miłość jego ku Zosi za dziecinną uważał igraszkę, niepokoił się jednak i stanowczo wszelkich zakazał stosunków. Przytem pan Feliks od czasu owego pamiętnego sporu, nieprzezwyciężoną czuł niechęć do całego miasteczka D. i, chociaż zwłoki żony jego i córki na cichym tamże spoczywały cmentarzu, od lat kilku nawet na nabożeństwo zajechać nie raczył. Biedny Staś pod różnemi pozorami wykradał się z domu i na swym wiernym gniadoszu pospieszał na miejsce umówionéj schadzki, albo do lasku dębowego, który w bliskości miasta położony, ulubionym dla spacerujących był celem, albo na cmentarz wysokim okolony murem, albo wreszcie, wrazie niebytności proboszcza, do

gęstéj altanki bluszczowéj, w kącie milutkiego położonéj ogródka.

W niemniéj przykrych stosunkach znajdowała się Zosia. Ksiądz proboszcz niechętnym na trzech zalotników spoglądał okiem, bo żaden dla ukochanéj siotrzenicy dostatecznéj przyszłego szcześcia nie dawała mu rękojmi. Rozumie się, że najgorzéj względem głupiego był usposobionym Bałabartka; Kubuś pom mo wielu zalet, był mu zbyt rubasznym i niewykształconym; Staś był synem gbura, skąpca i pieniacza. Ksiądz ostro i bezwzględnie wyrażał się o nim, przywiązania Zofii nie domyślał się wcale, nie zapytał nigdy o jéj skłonność, bo któż jego o takową kiedykolwiek zapytał w młodości? — Biedna Zosia ukrywała stan swego serca przed dobrodziejem, białe łożeczko często rzewnemi oblewała łzami, Stasiowi zabroniła bywać u księdza i zbijącém serduszkiem na tajemne zdążała spotkania. Gdyby nie szczęśliwy obrot okoliczności, słabe te dusze nigdy stanowczego nie uczyniłyby kroku!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Policya i rzezimieszki w Londynie.

(Dokończenie.)

Gałąź ta wymaga naturalnie talentu odrębnego i wyższych zdolności. Policyant zamaskowany nie staje nigdy przed sądem, gdyż użyteczność jego polega właśnie na niewychodzeniu z ukrycia. Pomimo całéj jawności postępowania sądowego w Anglii, publiczność nie widuje nigdy tych skrytych pomocników, a miejsce ich na ławkach świadków zajmują zwyczajni konstablowie, którzy obwieszczenia swoje w przedmiocie popełnionych zbrodni zaczynają zawsze od uświęconych wyrazów: „Według otrzymanego doniesienia.“ Większa część denuncyacyi pochodzi od samychże przestępców, zdradzających się wzajemnie przez zemstę albo zawiść. Krok ten atoli naraża zdrajcę na największe niebezpieczeństwo, bo cech złodziejski wymierza przykładne kary za podobne nadużycie zaufania; policeman przeto musi być bardzo ostrożny, aby nie kompromitować donosiciela. W ogólności położenie policyi angielskiéj bardzo jest drażliwe. Na stałym lądzie na przykład policyant za przytrzymanie kogoś niewinnego otrzymuje w najgorszym razie naganę. W Anglii przeciwnie, gdzie na sto oskarżeń sześćdziesiąt kończy się zwykle uwolnieniem poszlakowanych, gdzie sędzia woli wypuścić dziesięciu winnych, jak skrzywdzić jednego niewinnego, policya w obec sądu uważaną jest po prostu jako strona sporna, i to jako strona, na którą rozmiłowany w swéj wolności osobistéj Anglik spogląda z niedowierzaniem, dla któréj usposobienie jego z góry jest nieprzychylném. Nieraz tym sposobem role zmieniają się w ciągu sprawy, i policeman, jeźli przekroczył swe atrybucye, z oskarżyciela staje się oskarżonym, który wtedy najsurowszego spodziewać się może sądu.

Trudności te zaostrzają niezmiernie dowcip i przebiegłość policemanów, a zmysł ich odkrywczy takiéj nabiera bystrości, że najlżejsza wskazówka wystarcza im do wytropienia przestępców. Ploteczki miejskie, gawędy sąsiadów, a szczególniéj sługi domowe wychodzące za kupnem wiktuałów, stają się dla nich źródłem nieprzebraném ku czerpaniu najpożądańszych tajemnic. Niejaki Witchem zeznał przed kilkunastu laty przed sądem w jaki sposób wyśledził głośnego złodzieja koni Tally-ho Thompson. „Niezmiernie trudno było, opowiada nasz policeman, trafić na ślad pobytu Thompsona. Wiedziałem, że żona jego z małą dziewczynką mieszka w Chelsea; czatowałem więc przez dni kilka, szczególniéj w godzinach rozsyłania poczty, czy nie przybędzie list jaki od niego. Jednego poranku rzeczywiście ujrzałem roznosiciela wchodzącego do mieszkania pani Thompson. Roznosiciele pocztowi nie zawsze są skorzy do rozmowy. Zapytałem jednak wracającego posłańca, czy nie może mi powiedzieć zkąd przyszedł list tylko co oddany. „Nie obejrzałem stempla,“ odrzekł mi lakonicznie. „Pomówię z wami otwarcie, dodałem po chwili; p. Thompson winien mi trochę pieniędzy, a wiem że niedawno podniósł jakąś sumkę. Gdybym więc teraz trafił do niego, odebrałbym swoję należytość.“ „Wszystko to dobrze, odparł roznosiciel, ale zapewniam was żem nie obejrzał stempla. To tylko powiedzieć wam mogę, że w liście były pieniądze.“ Na teraz było to dla mnie dostateczném, bo pani Thompson musiała odpisać, dla poświadczenia odbioru. Niezadługo téż dziewczynka wybiegła z domu i kupiła w przyległym sklepie papier i kopertę. W godzinę wyszła powtórnie, trzymając list w ręku. Podszedłem ku niéj z obojętném zapytaniem, ale nie mogłem zobaczyć adresu, bo dziecię niosło list odwrócony; spostrzegłem jednak że obok pieczęci była kapeczka laku. Skoro dziewczynka list swój oddała do sklepu *), wszedłem tam i rzekłem do właściciela: Jestem urzędnikiem policyi. W téj chwili odniesiono tu list z kapeczką laku obok pieczęci. List ten pisany jest do człowieka, którego śledzę, proszę więc o pokazanie mi adresu“ Poszukano w skrzynce i napis wskazanego listu brzmiał: p. Tomaszowi Pigeon, na stacyi B*, poste restante. Téj saméj nocy ujechałem 120 mil (ang.) do B*, i zaraz udałem się do tamecznego urzędnika pocztowego, oświadczając kto jestem i że czekać będę aż się kto zgłosi po odbiór listu. Dano mi osobny pokoik, w którym trzy dni przesiedziałem bezskutecznie. Czwartego dnia służący szepnął mi tajemnie, że jakiś posłaniec dopytuje się o list do Tomasza Pigeon. „Zatrzymajcie go przez chwilę, odrzekłem, póki nie wyjdę na ulicę.“ Wybiegłem i zobaczyłem wieśniaka, który czekając na list, trzymał konia za cugle. Pogłaskałem zwierzę i bąknąłem od niechcenia: „Co widzę, koń pana Jones?“ „Jakto pana Jones, odparł posłaniec; to szkapa p. R. z gospody pod trzema koronami.“ I wymówiwszy te słowa, dosiadł konia i odjechał tęgim kłusem Skoczyłem w najemne tilbury i popędziłem za nim tak szybko, że jednocześnie przybyliśmy pod trzy korony. Udałem się do izby szynkownéj i kazałem so-

*) W Londynie, podobnie jak w Paryżu, oddawano zwykle listy do sklepów korzennych, zkąd odnoszone bywały na pocztę.

bie podać szklankę grogu Zaraz po mnie wszedł posłaniec i oddał list pannie bufetowéj. Dziewczyna obejrzała go tylko, i nie rzekłszy ani słowa, wetknęła go za lustro Przemieszkałem kilka dni w gospodzie, czekając co będzie daléj. Nareszcie zjawił się roznosiciel pocztowy, i bufetowa doręczyła mu ów list, opatrzony w nową kopertę. Zdołałem wypatrzeć adres: do p. Tomasza Pigeon w S* (Northamptonshire) poste restante. Pojechałem znów za listem i czekałem na stacyi póki go kto nie odbierze. W parę dni nadjeżdża konny posłaniec. „Czy nie ma listu dla p. Tomasza Pigeon?" — „Zkąd jesteś, przyjacielu?" — „Z nowego szynku pod S* — „Oto masz list." Poinformowano mnie, że „nowy szynk" jest to samotna gospoda, o godzinę drogi od stacyi kolei żelaznéj. Przybywszy tam, zastałem w izbie gościnnéj trzech mężczyzn, z których jeden, podług rysopisu, zdawał się być Thompsonem. Starałem się do nich zbliżyć, lecz unikali mnie z widoczną nieufnością.



Ugody na św. Jan w Poznaniu.

Wieczorem ten właśnie, w którym domyślałem się przestępcy, wyszedł na podwórze. Poszedłem za nim, poklepałem go po ramieniu i rzekłem poufale: „Tally ho Thompson, nie róbcie ceremonii, bo znam was dobrze. Jestem urzędnikiem policyi londyńskiéj aresztuję was w imieniu prawa." Pochwycony znienacka i sądząc zapewne że nie jestem sam, nie śmiał stawić oporu. Wyjąłem z kieszeni dybki na ręce i chciałem mu je założyć. „Tego nie zniosę, zawołał Thompson; pójdę z wami dobrowolnie, ale okuć się nie dam." — „Słuchaj bracie, odparłem, daj mi słowo że nie uciekniesz, a nie użyję kajdanków." — „Zgoda, tylko nim w drogę ruszymy, muszę wprzód jeszcze napić się wódki." Wróciliśmy razem do izby i piliśmy z sobą w najlepszéj zgodzie; poczém zaraz koleją żelazną odwiozłem winowajcę do Londynu."

Najliczniejszą klasę w Londynie składają złodzieje kieszonkowi, którzy znów między sobą na wiele dzielą się odcieni. Ogromny na przykład jest przedział między spekulantem kręcącym się nieraz przez kilka mie-

sięcy koło banków, zanim raz, ale dobrze się obłowi, a proletaryuszem polującym na chustki od nosa i tabakierki. Złodziéj dobrego tonu z powierzchowności wygląda zupełnie na gentlemana, a jednak oko wprawnego policyanta poznaje w nim sójkę przestrojoną w pawie pióra. Przemysłowiec tego rodzaju zdradza się szczególniéj latającym swym wzrokiem, spoglądaniem na wszystkie strony, podczas gdy ludzie uczciwi w czasie jakiegobądź widowiska patrzą zwykle na przedmiot ogólnego zajęcia. Dostrzegłszy takiego podejrzanego eleganta, policeman aresztuje go bez ceremonii, i rzadko kiedy znajduje opór; bo najprzód uwięzienie, według prawa angielskiego, nie może potrwać dłużéj jak do wieczora, jeżli nie ma dotykalnych dowodów popełnionego przestępstwa, a potém każdy złodziéj z natury jest tchórzem. Całe ryzyko leży w tém, żeby się nie pomylić w osobie; niewłaściwe bowiem zaczepienie prawdziwego gentlemana może pociągnąć za sobą skutki bardzo nieprzyjemne. Charakterystyczną anegdotę o tchórzliwości rzezimieszków angielskich przytacza autorka dzieła „Englishwoman in America" (Angielka w Ameryce), która pewnego razu z jednym z nich jechała sam na sam w wagonie kolei żelaznéj. Zdrzemnąwszy się w drodze, uczuła nagle że sąsiad wyciąga jéj coś z kieszeni. Wołanie o pomoc w takiém położeniu byłoby naturalnie bezskuteczném; sięgnęła więc potajemnie do kieszeni i przekonała się, że przedmiotem skradzionym był kwit na pakunki, w których na nieszczęście miała i pieniądze. Położenie było trudne, bo wiadomo, że na stacyach kolejowych rzeczy wydają tylko okazicielowi kwitu. Podróżna jednak nie straciła przytomności. Przybywszy na miejsce, wysiadła razem z owym jegomością, i wskazując na niego, rzekła głosem pewnym do ekspedytora pakunków: „Ten pan ma mój kwit." Pomięszany złodziéj wydobył rzeczywiście papier, a pasażerka, szczęśliwa że uniknęła straty, była tyle dyskretną, iż nie wydała go w ręce sprawiedliwości.

Obfite żniwa dla złodziejów kieszonkowych przedstawiają zebrania na wyścigach konnych. Jeden z bandy stara się najprzód obmacać w tłoku kieszenie upatrzonego gentlemana. Po przekonaniu się że dobrze naładowane, kilku wspólników obstępuje go w koło. Nasz Anglik, mający może przy sobie znaczną sumę na zakłady, trzyma ostrożnie rękę na kieszeni; ale i to nie pomoże, bo w chwili gdy za zbliżeniem się koni do mety tłum pcha się naprzód, sąsiad nasuwa mu kapelusz na oczy. Napastowany instynktowo podnosi ręce do głowy, i zanim się pozbędzie niedogodnéj zasłony, kieszenie jego są wypróżnione, a złodzieje zniknęli bez śladu.

Rzezimieszki prócz tego wielkiemi są fizyognomistami i umieją doskonale wybierać sobie ofiary. Iluż to podróżników zwiedza Londyn, Paryż, Wiedeń lub Berlin, bez poniesienia najmniejszéj straty. Inni przeciwnie, gdziekolwiek się pokażą, bywają niemiłosiernie oporządzani. Przyczyną tego jest właśnie trafny rzut oka złodziejów, którzy po chodzie, po ubraniu, po ruchach potrafią poznać człowieka, upatrzywszy zaś zdobycz obiecującą, ścigają ją póty niezmordowanie, póki przy zbiegowisku ulicznem, przy scenie bokserów, przed sklepem z rycinami, w omnibusie, na przechadzce albo gdziekolwiek indziéj nie znajdą sposobności obłowienia się jéj kosztem.

Zupełnie nowym pomysłem w sztuce złodziejskiéj jest narzędzie, za pomocą którego chwyta się koniec klucza tkwiącego w zamku i odkręca rygiel bez żadnego hałasu. Lecz groźniejszemi jeszcze dla własności bliźniego są filuci wkradający się zręcznie w serca kucharek i pokojówek londyńskich. Spekulant taki w umówionéj godzinie, kiedy państwa nie ma w domu, wyprowadza kucharkę na ulicę, zamyka drzwi starannie i kładzie klucz do kieszeni. Przez drogę podaje go niepostrzeżenie przechodzącemu koledze, który, po zrobionym użytku, napowrót go odnosi. Przy pożegnaniu kochanek doręcza swojéj miléj klucz, jak gdyby nic nie zaszło, a lekkomyślna sługa zastaje wprawdzie zamek nietknięty, ale mieszkanie ze szczętem okradzione.

Jak wszędzie, tak i w rzemiośle rzezimieszków zdarzają się partacze, talenta mierne i geniusze. Wprawny policeman po stylu pozna zaraz autora, i dotrze tym sposobem do źródła. Złodzieje wyższéj sfery zajmują częstokroć wykwintne lokale, w których mieszkają z żonami i dziećmi, niby porządni obywatele, mają conto otwarte u bankiera i zapijają szampana. Jednakże żaden złodziéj londyński nigdy się nie upije, bo wie bardzo dobrze na jakie przez to naraziłby się niebezpieczeństwo. W cechu tym zwykle przykładna istnieje solidarność. Gdy który z nich zostanie schwytanym, inni natychmiast urządzają składkę; każdy daje co może, a sumę zebraną doręczają „pokrzywdzonemu," aby mógł opłacić dobrego adwokata. Solidarność ta rozciąga się także do wzajemnéj pomocy w przedsięwzięciach na wielką skalę, co zresztą w naszym wieku asocyacyi zadziwiać nie powinno. Niech który na przykład stropi zdobycz bogatą, lecz wymagającą znacznego kapitału, sprawienia kosztownych narzędzi, przekupstwa i tym podobnych nakładów, wtedy „kapitaliści" składają nieraz po 50 funtów szterlingów, aby potém podzielić się zyskiem i zaliczony kapitał odebrać z ogromnemi procentami.

Historya i statystyka kawy.

Drzewo kawowe, zwane w języku naukowym od czasu Linneusza coffea arabica, odmienne w różnych epokach i u różnych narodów nosiło miana. Arabowie nazywali je cahvah, Egipcyanie cahava albo coava, Persowie cahvoe, Turcy cahveh, Kochinchińczycy cay caphe. Rośliny kawowe należą do wielkiéj familii rubiaceów, tworząc w niéj oddzielną gromadę coffeaceów, w których skład wchodzą także znane z własności lekarskich: cephaëlis ipecacuanha, ronabea emetica, chiococca anguifuga i t. p.

Kawa, któréj użycie po całym dziś rozpowszechniło się świecie, należy do liczby nie wielu roślin użytkowych, pochodzących z Afryki; badania bowiem Rittera przekonały, że ojczyzną jéj nie jest Arabia, jak mniemano dawniéj i jak dziś jeszcze wskazuje nazwisko naukowe (coffëa arabica), lecz Etiopia. O ile wnosić można z bardzo niedokładnéj jeszcze znajomości tych okolic, uważać należy górzyste okręgi Enarea i Kaffa w Abisynii za kolebkę roślin kawowych; zdaje się nawet, że ostatni nadał im-miano rodzajowe. Ztamtąd, to jest od 10° szer. półn., drzewo kawowe rozkrzewia się w poprzek Afryki aż do Timbuktu, do źródeł Nilu i do Senegalu; potém na zachód aż do Sierra Leony i na południe do Angoli, czyli w całéj prawie przestrzeni od indyjskiego do atlantyckiego oceanu, jakkolwiek centralnym jego punktem jest Sudan właściwy. Z tego téż powodu Ritter radzi zamiast coffea arabica nazwać go c. sudanica.

Jakkolwiekbądź, powszechnie używana nazwa naukowa ma to przynajmniéj za sobą, że nam wskazuje miejsce z którego kawa najprzód rozeszła się po świecie. Arabia, a zwłaszcza Arabia Szczęśliwa, czyli kraina Jemen, jest rzeczywiście miejscem najdawniejszéj uprawy téj rośliny, a stacya Mochha albo Mokka, przy po-

łączeniu morza Czerwonego z Arabskiém, aż dotąd zachowała sławę dostarczania wyborowego jéj ziarna.

W połowie 17go wieku Hollandczycy przenieśli drzewo kawowe z Mokki do Jawy, która odtąd została jednym z najgłówniejszych punktów jego uprawy. Dziś Indye niderlandzkie posiadają 80 milionów drzew, których zbiór przeciętny daje około 130 milionów funtów kawy.

Drugi kontyngens dostarczyła Mokka w r. 1717 wyspie Bourbon, która obecnie po Mokce najlepszą rodzi kawę.

Inne przesiedlenia téj rośliny nastąpiły już z Jawy. Roku 1710 szczep jéj posłano do Amsterdamu, a ztamtąd przeszła ona nie tylko do ogrodów całéj Europy, lecz nadto w rozległych plantacyach rozszerzyła się po Indyach Zachodnich, a potém po Gujanie, Venezueli, Brazylii i t. d.

Obecnie drzewo kawowe liczy przeszło trzydzieści znakomitych ognisk swéj uprawy, mianowicie: w Afryce Abisynią, Sierra Leonę, Port Natal na Przylądku Dobréj Nadziei, wyspy Madagaskar, Bourbon i Maurycego; w Azyi Arabią, wyspy Filipińskie, Sunda (Jawę Sumatrę i Celebes), półwysep Malakkę, pobrzeże Malabaru i wyspę Cejlon; w Ameryce Antyle (Barbadoes Kubę, Domingo, Dominikę, Guadelupę, Martinikę, Portoriko, Jamaikę, św. Łucyą i Trinidad). Kosta Rikę, Venezuelę, trzy Gujany, Brazylię, Nową Grenadę, Peru i Quito. Próby przyswojenia kawy we Włoszech i w Hiszpanii niepowiodły się.

Według kronik arabskich patron Mokki, szeik Szedeli, w 15 stuleciu wprowadził pierwszy kawę do Arabii Szczęśliwéj. Napływ pielgrzymów do Mekki, dokąd kawa dostała się w r. 1467, rozszerzył wkrótce po Wschodzie sławę nowego przybysza. Tu także powstały pierwsze kawiarnie, które tem większą pozyskały wziętość, że uczuć się dawała potrzeba zastąpienia wzbronionego przez proroka wina innym jakim napojem.

W połowie 16 wieku kawa utorowała sobie drogę do Konstantynopola zkąd wkrótce całą ogarnęła Turcyą, wprzód jeszcze rozgościwszy się w okręgach Aleppa i Damaszku. W miastach tych liczne pozakładano kawiarnie, które niesłychanego doznawały powodzenia. Turcy znajdowali w nich, oprócz orzeźwiającego napoju, miękkie poduszki lub dywany i spokojność, słowem wszystkie warunki potrzebne ku rozkosznemu odbywaniu kefu, owego dolce far niente mieszkańców Wschodu. Niektórzy w tych zakładach zajmowali się poważną grą w szachy, inni nauczającą rozmową: nic dziwnego więc że kawiarnie stały się wkrótce dla Konstantynopola ogniskami życia umysłowego, prawdziwemi szkołami mądrości, do czego nie pomału zapewne przyczyniały się i drażniące własności nowego odwaru. Kawa stała się współzawodniczką kościoła islamskiego: czém dawniéj meczety, tém teraz były kawiarnie. Poznało się na tem duchowieństwo tureckie i mufti wydał rozkaz zamknięcia wszystkich tego rodzaju lokalów; ale następca jego cofnął zakaz i uwolnił kawę od ciążącéj na niéj klątwy.

Sprzeczne te postanowienia władzy kościelnéj, do których kilkakrotnie mięszała się i zwierzchność polityczna, dowodziły wielkiego wpływu jaki już sobie pozyskał przybysz afrykański; o ile zaś wpływ ten wzmagał się i w czasie późniejszym, dowodzi pocieszne dosyć prawo tureckie, stanowiące iż odmówienie kawy żonie ze strony męża, staje się punktem do rozwodu. Od epoki téj zaczyna się także zwyczaj udzielania bakszisz, czyli datku na piwo, a raczéj dosłownie na kawę. Widziemy więc że kawa, pomimo doznawanego prześladowania, urosła już wtedy na Wschodzie w potęgę religijną, polityczną i obyczajową.

Podobnego prawie losu doznała kawa i na Zachodzie, dokąd kilkoma dostała się drogami. Zdaje się że Wenecyanie pierwsi sprowadzili ją jako środek lekarski z Lewantu do Europy i Mokka podobno była najdawniejszą jéj stacyą handlową. W Niemczech najwcześniéj poznano ją w Wiedniu, zaraz po odsieczy téj stolicy przez Sobieskiego w r. 1683. Po słynném w dziejach zwycięztwie nad Turkami, znaleziono w ich obozie ogromne zapasy cukru, oliwy, ryżu, miodu i kawy. Zdobycz ta stała się kamieniem węgielnym przyszłéj konsumcyi kawy w całych Niemczech, i tegoż jeszcze roku Jerzy Kulczycki Polak, za ważne usługi wyświadczone sprzymierzonym podczas oblężenia, otrzymał przywilej na założenie pierwszéj kawiarni w Wiedniu. Na początku atoli 18 stulecia funt kawy kosztował w Lipsku $1\frac{2}{3}$ talara, a następnie Fryderyk Wielki nałożeniem monopolu przyczynił się jeszcze bardziéj do podniesienia jéj ceny.

W Europie najpóźniéj poznały kawę kraje skandynawskie. W Paryżu za to już r. 1669 była ona w używaniu, i Sycylijczyk Prokop tegoż roku otworzył tam istniejący po dziś dzień Café Procope, zakład, który pod Ludwikiem XIV został punktem zebrania najznakomitszych pisarzów i artystów. Za Ludwika XV liczono już we Francyi około 600 kawiarń.

Wpływ kawy na stosunki społeczne i intelektualne dziwnie był podobny u narodów całkiem różnych charakterem i oświatą. Widzieliśmy jak na Wschodzie kawiarnie stały się „szkołami mądrości,“ a prawie to samo powtórzyło się i w główniejszych miejscowościach europejskich. W Paryżu do Café Procope uczęszczali Voltaire i Fontenelle; w Lipsku do tak zwanéj „kawiarni arabskiéj“ przybywał co wieczór sławny myśliciel Leibnitz. W Londynie pierwszą kawiarnią założono pod Cromwellem, i w krótkim czasie mnóstwo ich tam powstało. „Dogodność, mówi historyk angielski Macaulay, jaką nastręczały te zakłady pod względem schadzek i przyjemnego przepędzania wieczorów z małym bardzo kosztem, rzeczywiście była wielką. Ludzie klas wyższych i średnich uczęszczali codziennie do kawiarń dla gawędy i posłyszenia nowin. Każdy lokal posiadał jednego albo kilku mówców, będących tém niemal dla ówczesnéj społeczności, czém dzisiaj są dziennikarze.“ Poeta Dryden, przesiadując wieczorami przy kominku w ulubionéj swéj kawiarni, otoczony kołem licznie zgromadzonych słuchaczów, rozbierał krytycznie najnowsze utwory literatury angielskiéj; fakt dowodzący, że towarzyskie te nawyknienia znakomicie działać musiały na wyrabianie się pojęć i ducha narodowego.

Przystępując teraz do statystyki kawy, i mając na uwadze, że początkowo cena jéj wynosiła w Paryżu 40 talarów za funt, przyznać musiemy, że obok przyjemnych dla smaku własności nowego napoju, moda i wiara w przymioty jego lekarskie przeważnie utorowały mu drogę. Nie mogła jednak kawa w powszechniejsze wejść użycie, dopóki cena jéj pozostała wygórowaną. Jeszcze w czasie kiedy Napoleon rozciągnął nad Europą swój system kontynentalny, ciążyło na niéj cło wynoszące 400 franków za 100 kilogramów czyli około 200 funtów. Później dopiero, kiedy zdrowsze zasady ekonomii politycznéj znalazły zastosowanie w stosunkach finansowych i handlowych, cena jéj szybko spadała, a konsumcya rosła coraz bardziéj.

Jak znakomity był ten przyrost, już nawet w ostatnich kilkunastu leciech, przekonają poniższe tabele produkcyi i konsumcyi kawy.

Produkcya.

	W roku 1830.		*W roku 1850.*	
Brazylia.	60	mil. funt.	240	mil. funt.
St. Domingo	40	„ „	30	„ „
Kuba Portorico . . .	50	„ „	44	„ „
Indye zachodnie an-				
Suma	150	mil. funt.	314	mil. funt.

	W roku 1830.	*W roku 1850.*
Z przeniesienia...	150 mil. funt.	314 mil. funt.
gielskie.......	22 „ „	4¼ „ „
Indye zachodnie niderlandzkie	10 „ „	8¼ „ „
Costa Rica......	— „ „	7 „ „
Laguajra (Venezuela)	6 „ „	21 „ „
Jawa, Sumatra....	52 „ „	104 „ „
Manila	— „ „	2½ „ „
Madras, Mokka, Arabia	20 „ „	23 „ „
Indye wschodnie angielskie itd.....	7½ „ „	44 „ „
Razem	267½ mil. funt.	528 mil. funt.

Nadmienić tu należy, że produkcya kawy w Indyach zachodnich angielskich zmniejszyła się tylko przez zaprowadzenie tam emancypacyi niewolników, która pozbawiła te kolonie ogromnéj masy sił roboczych.

Konsumcya.

	W roku 1830.	*W roku 1849.*
Wielka Brytania	21 mil. funt.	34½ mil. funt.
Holandya i Belgia ...	81 „ „	68 „ „
Niemcy, Austrya,	64 „ „ (razem z Szwajcaryą, Rosyą, Szwecyą i Danią)	142 „ „
Szwajcarya...		7 „ „
Rosya.......		16 „ „
Szwecya i Dania.		16 „ „
Francya......	70 „ „ (razem z Krajami nad morzem Śródziemnem, Hiszpanią i Portugalią)	61 „ „
Kraje nad morzem Śródziemnem..		32½ „ „
Hiszpania i Portugalia.....		13 „ „
Stany Zjednoczone.	41 „ „	152 „ „
Razem	277 mil. funt.	526 mil. funt.

W Anglii wypada na głowę 1,13 f., we Francyi 1,85 f., w związku niemieckim 3,10 f., w Austryi 0,50 f., w Stanach Zjednoczonych 7.20 f.

Jeżli zważymy, że ogólna konsumcya kawy, wynosząca 526 milionów funtów, licząc przecięciowo po 8 sgr. za funt, wprowadza rocznie w obieg ogromny kapitał 131,500,000 tal., to trudno nie uznać w niéj jednéj z najznakomitszych dźwigni handlowych; a że dziś, lekko licząc, 100 milionów ludzi używa jéj za napój, a konsumcya ta idzie w stosunku ciągle rosnącym, więc i pod względem zarówno sanitarnym jak moralnym urość ona może w potęgę, która kiedyś, wespół z herbatą, usunąć zdoła w wielkiéj części zgubne upowszechnienie napojów spirytualnych.

Przy przewrotach jakie nowo utworzony kanał Suezki spowoduje i cena kawy w Europie, uledz zmianie będzie musiała. Ułatwiona komunikacya znacznie ją obniży; a korzyść z téj zmiany i Polska w wielkiéj części odniesie.

ROZMAITOŚCI.

(Ugody ze służbą na św. Jan w Poznaniu. — Z ryciną.) Ruch w Poznaniu z całego roku w miesiącu czerwcu najwięcéj jest ożywiony. Powodem głównym tego, jest jarmark wełniany i ugoda właścicieli wiejskich ze służbą dworską. Ten zwyczaj ostatni nie dawną zdaje się ma tradycyę; niegdyś bowiem tak szybkich i ciągłych zmian nieznano. Cnoty i występki są wszystkich wieków, narodów i społeczeństw ludzkich udziałem. Szczęśliwy naród w których pierwsze przewyższają drugie. Dawna Polska była jednym z takich narodów. Za czasów w których Rzeczpospolita była rządną, w których cnota republikańska w całéj sile żyła, sługa raz wszedłszy do domu znajdował w Panu swoim opiekuna i przyjaciela do śmierci. Ale też w zamian wchodzący uważał siebie jako cząstkę nierozdzielną od rodziny domowéj. Typ ten szlachetny uwiecznił nieśmiertelny wieszcz nasz w osobie Klucznika. Dziś się czasy i stosunki zmieniły. Rok rocznie widzimy tego dowód na alei w Poznaniu, w dniach poprzedzających św. Jana. Tak jak rycina przedstawia tłumy różnego stopnia oficyalistów zbierają się w tym czasie w Poznaniu, dla wyszukania miejsc odpowiednich życzeniom i zrobienia na nie ugody. Towarzystwo ku wspieraniu urzędników gospodarczych nie małą w tem usługę oficyalistom i panom oddaje. Rekomendacya stowarzyszenia jest więcéj zasługująca na uwzględnienie, niż stronnicze popieranie pojedyńczych osób.

Rycina załączona przedstawia róg ul. Nowéj i alei Wilhelmowskiéj, gdzie się zwykli zbierać poszukujący służby, niższych stopni oficyaliści. Tu wąsaty, o srogiem obliczu, nigdy niezaginiony typ ekonoma wiejskiego, tam smagły i odznaczający się lekkością dzokéj, a tu znowu z pokornym ale charakterystycznym wyrazem dygnitarz, który w szlachetnym zawodzie przy stajni lub oborze nie mało zasług położył. Wszystkim w tranzakcyach i późniéjszéj pracy życzymy powodzenia, które od cnoty i sumienności w wykonywaniu obowiązków głównie zależy.

(Wystawa obrazów w Poznaniu.) Z dniem 1 czerwca otworzoną została wystawa obrazów, urządzona staraniem Towarzystwa Młodych Przemysłowców. Pomimo sądu wyrzeczonego przez nas w jednym z poprzedzających numerów przy którym i dziś obstajemy, szczerem słowem witamy tę nową gwiazdkę na niepoetycznym horyzoncie Wielkopolski. Gwiazdka ta wprawdzie należy dotąd jeszcze do konstelacyi drugiego rzędu, ale jest niepłonna nadzieja, że promienie geniuszu narodowego z Krakowa, Rzymu i Paryża wkrótce ją rozjaśnią. Oto w tych dniach wzbogaci ubogi zbiorek wystawy, kilka seryi arcydzieł śp. Artura Grotgera, jedynego bodaj w tych czasach poety, odkrywającego nam całe głębie uczuć i boleści narodowéj z ostatniéj epoki. Któż na widok epizodów okropnych, a pełnych poetycznéj prawdy, największéj z nowoczesnych męczennic, epizodów z życia naszéj siostrzycy Litwy, nie uczuł głębokiego bolu, cisnącego się do duszy, bolu równego cierpieniom téj, która rozpięta na krzyżu, tylko wiarą w przyszłość żyje? Któż w obrazku na pozór martwym nie dojrzał wszystkich uczuć, wszystkich momentów téj wielkiéj a krwawéj tragedyii, którą ostatniem powstaniem zwiemy?......

Zdaje nam się żeby już nic więcéj to tych kilka arcydzieł byłyby dostateczną zachętą do licznego zwiedzania wystawy. A jeżeli dodamy że fundusze za wejście zebrane, mają cel szlachetny wsparcia nieszczęśliwych z Syberyi wróconych, to o powodzeniu artystycznéj próbki Poznania wątpić nam nie wolno.

Towarzystwo Młodych Przemysłowców idąc za przykładem Greków, którzy każdą ze sztuk pięknych w postać pięknéj dziewicy wcielali, zdołało uprosić dobroczynne damy Poznania, ażeby u drzwi ubogiéj świątyni stały na straży i od wielbicieli piękna na cel pożyteczny datki zbierały.

Z okoliczności wystawy w przeszłym numerze Sobótki, rozpoczęliśmy artykuł o malarstwie w Polsce. Z przyczyn od nas niezależnych przerwać musimy na chwilę ciąg dalszy artykułu, obiecując w następnych numerach go przedłużać. Prócz tego po ukompletowaniu wystawy, podamy czytelnikom artystyczny rozbiór dzieł będących na wystawie.

Zagadka.

Trzy wyrazy są w tém słowie,
A to słowo ciągle w mowie
Bo oznacza pana twego.
Serce tego zmień wyrazu,
Wodę będziesz miał od razu,
Rzekę kraju rodzinnego.
Rzece koniec nadaj nowy,
A w téj chwili cud gotowy
Miasto Księstwa masz naszego,
Albo drzewo bardzo znane,
W borach często widywane.
Czy niezgadłeś jeszcze tego.

(Rozwiązanie szarady w nr. 23: ***Helena***.)

Korespondencya Redakcyi.

Panu K. Gr. pod Inowrocławiem. Tego rodzaju choroby serca nie mogą być publikowane. Za resztę dziękujemy. Uwaga Pańska jest słuszną. Panu R. R. w Berlinie. W miejscu opisu grzechów głównych wolelibyśmy opis cnót. Panu X. X. w Poznaniu. Zapewne nie musi być znaną Panu następująca parodya liryzmu:

„Bo na dromli,
Gdy za skomli,
Tęskna nuta Syrokomli;
To tak jęknie,
Że aż pęknie
Tam coś w sercu.